

Wiesław Gawinek

Wspomnienie zesłańca Aleksandra Modzelewskiego (1939-1942)

Echa Przeszłości 9, 325-336

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wiesław Gawinek
Olsztyn

WSPOMNIENIA ZESŁAŃCA ALEKSANDRA MODZELEWSKIEGO (1939–1942)

Wspomnienia Aleksandra Modzelewskiego są zapisem tragicznych losów polskiej rodziny, mieszkającej na kresach wschodnich Rzeczypospolitej. Choć spisane po pięćdziesięciu latach, są niezwykle cennym dokumentem. Pisane prostym, oszczędnym językiem oddają dramatyzm sytuacji, w jakiej znaleźli się Polacy po agresji sowieckiej z 17 września 1939 r. Autorem wspomnień jest Aleksander Modzelewski, który urodził się w 1919 r. na Podolu, gdzie jego ojciec Adrian był księgowym w dobrach Potockich. Matka Janina z Pankiewiczów pochodziła z rodziny o bogatych tradycjach patriotycznych, której członkowie za udział w powstaniach narodowych musieli nie raz przemierzyć szlaki syberyjskiej katorgi. Uchodząc przed nawałą bolszewicką w 1920 r. Modzelewscy i Pankiewiczowie ewakuowali się pośpiesznie do centrum kraju wraz z cofającymi się oddziałami Wojska Polskiego. Po krótkim pobycie w Radomsku, rodziny te osiadły w Stołpcach nad Niemnem, gdzie ojciec Aleksandra rozpoczął pracę w starostwie. Zapleczem ekonomicznym kilku skoligaconych rodzin: Pankiewiczów, Modzelewskich, Gawinków i Martyków był oddalony o 16 kilometrów od miasta folwark Załucze, gdzie brat Janiny, kpt. Adam Pankiewicz w ramach osadnictwa wojskowego otrzymał tzw. działkę oficerską za zasługi w walce o niepodległość Polski. Załucze położone w zakolu Niemna, na obrzeżu Puszczy Nalibockiej, poza wspianą przyrodą miało też swoją legendę, bowiem właśnie tu przed osiemdziesięciu laty żył i tworzył poeta Władysław Syrokomla.

Kpt. Adam Pankiewicz (1895–1926) – oficer II Oddziału Sztabu Generalnego WP zajęty ochroną granicy państwowej powierzył zarządzanie majątkiem Załucze swemu ojcu Ignacemu. Po jego śmierci majątek w 1936 r. objęli Modzelewscy, którzy zaczęli tam gospodarować z dużą energią i dobrymi rezultatami. Ten stan został przerwany 10 lutego 1940 r., kiedy doszło do pierwszej deportacji ludności polskiej wywiezionej w głąb Związku Sowieckiego. Należy dodać, że poza wywiezioną z Załucza rodziną Modzelewskich,

w 1940 r. ofiarą sowieckich represji padły trzy dalsze osoby: matka Janiny Modzelewskiej, siedemdziesięcioletnia Cezaryna Pankiewicz, brat Tadeusz Pankiewicz, który do 17 września 1939 r. był komendantem Straży Pożarnej w Stoliniu na Polesiu oraz jego dwuletni synek Leszek. Tadeusz Pankiewicz uniknął kaźni w Katyniu tylko dlatego, że – gdy przypadkowo został ujęty przez NKWD – przytomnie zataił swój zawód podając się za księgowego. W Stołpcach pozostała Amelia Gawinek z Pankiewiczów, u której schroniła się uwolniona z transportu siostra Aleksandra Modzelewskiego Julia zwana Lila, która organizowała pomoc wysyłając deportowanym paczki żywnościowe; wymieniając z okolicznymi rolnikami rzeczy osobiste na artykuły spożywcze. Warto dodać, że paczki, które stanowiły przecież nieocenioną pomoc dla wysiedlonych, choć częstokroć okradane przeważnie docierały jednak do adresatów. Akcja takiej pomocy trwała, aż do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 r. i do zajęcia Stołpców przez wojska niemieckie. Warto dodać, że na mocy układu Sikorski-Majski z 30 lipca 1941 r. Aleksander Modzelewski odzyskał wolność i wstąpił do tworzącej się Armii Polskiej w Związku Sowieckim, której dowódcą został gen. Władysław Anders. W 1942 r. wraz z wojskiem został ewakuowany na Bliski Wschód. W maju 1944 r. walczył w bitwie pod Monte Cassino, a następnie przeszedł cały szlak bojowy 2. Korpusu Polskiego. Po wojnie osiadł na stałe w Ameryce, najpierw w Kanadzie, potem w USA i dopiero po 45 latach nieobecności w kraju wreszcie odwiedził Polskę, gdzie po raz pierwszy spotkał swoich bliskich, którzy ocalili z pożogi wojennej.

* * *

Zaczęło się to we wrześniu 1939 r., wojna wybuchła 1 września i w ciągu krótkiego czasu wojska niemieckie zalały większą część Polski. 17 września wojska Czerwonej Armii przekroczyły wschodnią granicę Polski, aby według ich propagandy zaopiekować się ludnością wschodnich terenów Polski. My mieszkaliśmy w osadzie wojskowej w Załuczu i już 17 września po południu wojskowi sowieckiej armii byli u nas, szukali broni w domu, bo im powiedzieli na wsi, że mamy broń. Początkowo zostawili nas na osadzie, później Lila i Marek też zamieszkali tam z nami. Kiedyś moja matka często opowiadała o przeżyciach podczas rewolucji, którą przeżyła na Ukrainie. Straszne to były opowiadania o tym, co się wtedy działo i nigdy tego nie zapomniałem, lęk i obawa były głęboko zakorzenione w mojej pamięci.

Władze sowieckie zaczęły szykować się do masowego wysiedlenia Polaków. 10 lutego 1940 r. o godz. 4.00 w nocy, ktoś dobijał się do drzwi naszego domu. Otworzyłem drzwi i zaraz zobaczyłem bagnet osadzony na karabinie wetknięty w drzwi. Przyjechali przedstawiciele NKWD. Zebrali nas wszystkich w jednym pokoju. Przeszukali nasze ubrania, kazali się ubrać. Dali nam pół godziny czasu, aby przygotować się do podróży, bo nas, jako nieprzychylny element przesiedlają do Rosji. Kazali wziąć na dwa tygodnie żywności i ciepłe ubrania, bo będziemy je potrzebować. Dali nam jedne sanie do zała-

dowania naszych rzeczy. Na drugich saniach, naszym koniem jechała nasza rodzina. Był ogromny mróz i głęboki śnieg, że nie można było szybko jechać, bo droga była zasypana i musieliśmy dopiero ją przecierać. Ja obawiałem się, że mały Marek zamarnie w drodze i prosiłem oficera NKWD, aby jechał możliwie jak najprędzej. Mnie zabronili schodzić z sań i grozili, że zastrzelą jeśli zejde. Pewno obawiali się żebym nie uciekał, choć to było niemożliwe w głębokim śniegu. W końcu nogi mi tak zmarzły, że zeskoczyłem z sań i powiedziałem żołnierzowi, że może strzelać, ale ja już dłużej nie mogę wytrzymać mrozu. Pozwolili mi iść koło sań. Nie wiedziałem, czy my to przeżyjemy, myślałem, że nas gdzieś pozbawią życia.

Kiedy z lasu dojechaliśmy do głównej drogi pełno na niej było sań z ludźmi, których wieźli do stacji kolejowej w Stołpcach. Moja młodsza siostra Hala była w Stołpcach u cici Lusi. Matka zatrzymała się tam, aby ją zabrać z nami. Na stacji kolejowej stały wagony towarowe, do których nas załadowano. Ja, zostawiłem naszego konia i sanie przy stacji. Nie wiem co się stało z koniem. Po załadowaniu naszych rzeczy do specjalnego wagonu szedłem w kierunku wagonu, gdzie była moja rodzina. Sowiecki żołnierz, który nas pilnował, zatrzymał mnie, zagroził drogę karabinem na którym był osadzony długi bagnet i nie chciał przepuścić. „Ty kuda idziesz?”. Kiedy mu wyjaśniłem sytuację, to pokiwał tylko głową. Wiedział dobrze, co nas czekało. Ja może mógłbym uciec, ale nie chciałem zostawić rodziny i może by mnie później złapali i byłoby jeszcze gorzej. Jedna młoda kobieta, koleżanka Lili z gimnazjum, tak się przejęła tym wysiedleniem, że dostała coś w rodzaju pomieszania zmysłów i chodziła koło wagonów prawie nago, choć był silny mróz. Zabrali ją do szpitala w Mińsku i po roku dołączyła do swojej matki, która była z nami w osiedlu. Ona nazywała się Jadzia Parchimowiczówna.

Ludzie w wagonach zaczęli jeść zapasy, które przywieźli z domu. Jedli bez umiarkowania i zaczęli chorować na żołądki. Ja zabiłem indyka w Załuczu i potem nasza babcia Pankiewiczowa upiekła go i przyniosła do wagonu w Stołpcach i jedząc oszczędnie starczył nam na jakiś czas. Trzymali nas tydzień w Stołpcach, aby uzupełnić transport. W wagonach umieścili dużo rodzin. Spaliliśmy na piętrowych pryzkach z desek. Dla załatwiania potrzeb naturalnych była wycięta dziura w ścianie wagonu z korytkiem. Ludzie początkowo wstydzi się używać tego urządzenia. Potem zawiesiliśmy koc wokoło tego korytka, ale po kilku dniach wszystko zamarzło i było nie do użytku i przeważnie załatwialiśmy nasze potrzeby naturalne na dworze koło wagonów. Lila co dzień narzekała do komendanta transportu, że nie mogą jej wywozić, bo jej mąż pochodzi spod okupacji niemieckiej i wedle umowy między Związkiem Sowieckim, a Niemcami nie powinni jej wywozić. Po paru dniach wypuścili ją z Markiem bez żadnych rzeczy, tylko w tym ubraniu, które mieli na sobie¹.

¹ Julia (Lila) Szymanowska wraz z synkiem Markiem znalazła schronienie u swojej cici Amelii (Lusi) Gawinek i razem przetrwały wojnę opiekując się trójką dzieci. Mąż Julii – Teodor Szymanowski – oficer artylerzysta przebywał w niewoli niemieckiej w Oflagu IIc w Woldenbergu.

Po załadowaniu transportu pociąg ruszył na wschód. Przejeżdżając granicę polsko-sowiecką w Kołosowie, była strażnica po polskiej stronie postrzelana z karabinów maszynowych. Po stronie sowieckiej też była strażnica. Była pomalowana od strony polskiej, a ponura od drugiej strony. Jadąc w głąb Rosji, pociąg zatrzymywał się na większych stacjach, gdzie pod nadzorem żołnierza szliśmy z wiadrami po wodę. Krajobraz był podobny do naszego z okolicy Stołpców. Na jednej ze stacji słyszałem, jak ludzie rozmawiali. Jeden pytał kogo wiozą w wagonach, a drugi tłumaczył, że to wiozą „Carow z Białorusi”. Po tygodniu jazdy wysadzili nas na polu koło linii kolejowej w „Wołogockiej obłasti”. Tam czekało dużo kołchoźników z końmi i saniami, aby nas zawieźć do lasu, gdzie mieliśmy pracować i mieszkać. Oni kradli co mogli i nam zginęło dużo rzeczy z kuferka, na którym rozbili zamek. Porozrzucali też rodzinne zdjęcia i chyba część ich zginęła.

Droga, którą jechaliśmy prowadziła korytem rzeki. Nie pamiętam jej nazwy, ale była to duża rzeka. Ja chciałem się napić wody i widziałem otwór w lodzie. Kiedy zrobiłem kilka kroków od drogi, lód się załamał i jedna noga wpadła mi do wody po kolano. Zaraz zamarzył but i ubranie. Potem, kiedy nawet mógłbym jechać na saniach, to nie jechałem, bo bałem się, że zamarznie noga. Droga była szeroka tylko na jednego konia i jedno sanie. Mój ojciec spadł z sań, kiedy jechały pod górkę. Zobaczyłem puste sanie i kołchoźnik nawet nie wiedział, co się z nim stało. Zatrzymałem sanie i pomogłem ojcu znowu usiąść. Ojciec zgubił ciepłą burkę, kiedy spadł z sań. Potem znalazłem ją na innych saniach i ludzi mi ją oddali. Szliśmy dwie noce i jeden dzień od linii kolejowej do lasu. W osiedlu do którego nas przywieźli (starsi ludzie, kobiety i dzieci jechały na saniach, młodszy szli na piechotę) umieścili nas w barakach. Tak dużo ludzi było w jednej sali, że w nocy nie można było obrócić się na drugi bok, bez podnoszenia się na posłaniu. Spaliśmy jak sardynki w puszcze, na pryzkach z desek. Na drugi dzień po przybyciu, zebrali nas i ogłosili, że wszyscy muszą iść do pracy w lesie, z wyjątkiem dzieci i starszych ludzi. Kto nie pracuje, nie będzie jadł, takie było zarządzenie. Byliśmy tam miesiąc w tych ciasnych warunkach. Po miesięcznym pobycie, znów załadowali nas na sanie, to znaczy prawie połowę ludzi i przewieźli do innego osiedla. Naszą rodzinę wiozła młoda dziewczyna. Ludzie miejscowi byli dobrzy dla nas. Jechaliśmy dwa dni i nocowaliśmy w wiosce u rodziny tej dziewczyny, która nas wiozła. Przejeżdżaliśmy długi czas przez spalony las, gdzie tylko sterczały osmalone drzewa. Ludzkie osiedla były tam bardzo rzadkie i wszyscy mieszkańcy wsi należeli do kołchozów. Na nowym osiedlu znów wszyscy musieli iść do pracy. Ja początkowo pracowałem przy ścinaniu drzew, później przy ładowaniu ich na kolejkę. Matka też musiała pracować w lesie, ścinać gałęzie z drzew i palić je na ogniu. Śnieg był bardzo głęboki i trudno było się poruszać. Do lasu z osiedla była tylko jedna ścieżka, którą ludzie szli „gęsiego”, bo śnieg był głęboki aż do ramion człowieka. W lecie ścieżka była błotnista i leżały na mokrych miejscach belki-kładki, po których przechodziliśmy. Matka po ukończeniu 50 lat, nie musiała pracować w lesie.

Dali jej pracę na osiedlu przy mieszaniu gliny do wyrobu cegieł. Była to ciężka praca, ale przynajmniej nie musiała codziennie chodzić daleko do lasu. Życie nasze w lesie było bardzo trudne. Młodzi ludzie znosili te warunki lepiej niż starsi ludzie i dzieci.

Na nowym osiedlu rodziny dostały małe przegródki (komórki) w barakach. Ściany były z desek, a w szparach było pełno pluskw, które po zgaszeniu lampy, wylaziły i tak gryzły, że po prostu nie można było spać. To osiedle było około 30 km od linii kolejowej. Prawie jedyne połączenie ze światem, była kolejka, która posuwała się po jednej szynie położonej na belkach, ułożonych na wysokich słupach wkopanych w ziemię co kilkanaście metrów. W lecie lasy były błotniste i nie można było przejechać, a zimą śnieg był tak głęboki, że też nie można było przejechać, chociaż było łatwiej niż w lecie, bo była wąska droga dla sań i koni. Kolejka ta szła od stacji kolejowej w głąb lasu, gdzie ładowali kłocę na wagoniki, które musiały być zrównoważone po obu stronach. Nie wiem czy to wytłumaczyłem dosyć dobrze, bo trudno zrozumieć, jeśli nigdy się nie widziało wiszącej kolejki. Adres tego osiedla, gdzie nas przywieźli to Wołogockaja obłast, Wożegockij rejon, Jawieńskij spec. posiołek, 21 kwartał. Znow wszyscy dorośli musieli iść do pracy (Kto nie rabotajet tot nie kuszajet). Część ludzi ścinała drzewa, inni ściągali drzewa końmi do wąskotorowej kolejki. Tam ładowali na wózki i dowozili do wiszącej kolejki, którą dowozili do stacji kolejowej.

Początkowo sprawa żywności była dosyć możliwa, ludzie przywieźli z Polski dużo zboża i mąki i nie wykupywali w sklepiku tej ilości chleba, który im przysługiwał, a kto chciał mógł kupić więcej chleba. W restauracji zwanej „Stołowaja” też można było kupić jedzenie, o ile ktoś miał pieniądze. Nam płacili za pracę, ale było to niedużo, bo praca była „akordowa”, to znaczy płacili za ilość wykonanej pracy. My cały czas byliśmy pod nadzorem NKWD i nawet jeden policjant szedł z nami do lasu. W nocy przychodzili do baraków i liczyli ludzi, czy nikt nie uciekł. Ucieczka byłaby niemożliwa, bo nigdzie by nie sprzedali nic do jedzenia i donieśli by na policję, gdyby ktoś obcy starał się coś kupić. Las był pełen ogromnych komarów, bardzo dokuczliwych, które napadały chmarami na ludzi i nawet gryzły przez dziurki sznurowadeł w butach. Takich ogromnych komarów nigdzie nie widziałem, prócz tamtych lasów. Pracowaliśmy 12 godzin dziennie, a co 10 dni zmienialiśmy godziny pracy z dnia na noc lub odwrotnie i wtedy pracowaliśmy 8 godzin, bez przerwy. Druga zmiana też tyle godzin pracowała, bo przy ładowaniu drzewa na kolejkę praca trwała 24 godziny na dobę. Ja pracowałem przy ładowaniu i spałem w baraku dla robotników. Jedna zmiana pracowała, a druga spała, tak, że jedno łóżko miało dwoje ludzi i zawsze było zajęte.

Zima była ostra i trzeba było spędzać 12 godzin w lesie. Nieraz był taki mróz, że drzewa pękały od mrozu i trzaskały, tak jak wstrzały z armaty. Nieraz kolejka nie mogła dojechać do lasu, bo motor zamarł w drodze, a my siedzieliśmy w lesie czekając na nią. Dużo było suchego drzewa, więc rozpa-

laliśmy ognisko na śniegu. Śnieg topił się od ognia i po pewnym czasie ogień był jakby w studni. Przy ogniu ubranie parowało od gorąca z przodu, a po plecach przechodził taki mróz, jakby ktoś nasypał kostek lodowych. Trzeba było ciągle odwracać się, aby ogrzać plecy i piersi. Do jedzenia braliśmy tylko chleb, bo nic innego nie było. Chleb zamarzał jak cegła i trzeba było skrobać zębami, aby można było jeść. Kiedy w końcu przyszła wiosna, śnieg szybko się topił, rzeki wzbierały i przyroda szybko budziła się do życia. Nieraz idąc do pracy wieczorem, na brzozech były tylko pączki, a rano już zielone listki. Tam, na północy przez parę miesięcy w lecie, nigdy nie było ciemno, tak zwane bieleje noczy, to pozwalało roślinności rozwijać się w szybkim tempie i pomimo krótkiego lata, jagody szybko rosły i dojrzewały. Była ogromna ilość malin i borówek, gdyby był cukier, to można byłoby zrobić dużo przetworów na cały rok. My w ciągu dwóch lat, mogliśmy kupić tylko parę razy kilka małych kostek cukru. Z powodu braku owoców i witamin, ludzie chorowali na szkorbut i cynge. Nie wiem czy to nazywam właściwą nazwą. Szkorbut powoduje utratę zębów, a cynga rany w nogach i ciele, które nie chcą się goić i zostawiają ogromne blizny, nawet po wyleczeniu. W obozach dla więźniów politycznych, których było kilka w pobliżu, ludzie gotowali młode igły sosnowe i pili ten gorzki wywar i to zapobiegało tym chorobom. Zdaje się, że właściwa nazwa to „awitaminoza”.

My, choć sami nie wierzyliśmy, że uda się nam kiedyś wyjechać z tego obozu, to mówiliśmy ludziom, którzy tam mieszkali, że długo tam nie będziemy. Po naszym uwolnieniu pytali nas skąd byliśmy tacy pewni, że to się stanie. Przez pierwszy rok pobytu, nie wolno nam było spotykać się i rozmawiać z miejscową ludnością. Niedaleko było osiedle ukraińskie, których tam wysiedlili w latach 30-tych. Oni nam mówili, że my mamy dobre warunki, bo są baraki do spania. Ich wrzucili do lasu bez żadnych budynków, musieli sami budować. Umierali masowo, a chowali ich we wspólnych grobach. Jeden Ukrainiec, z którym rozmawiałem, mówił, że pochował żonę rano i zaraz musiał iść do lasu do pracy, bo inaczej nie dostałby przydziału chleba na ten dzień. Jeden Ukrainiec, który był murarzem i budował piece na naszym osiedlu, doniósł do NKWD, że ja chcę uciekać, bo jemu też powiedziałem, że długo tu nie będę. Pilnowali mnie szczególnie więcej od innych. Mój ojciec zmarł w Wigilię Bożego Narodzenia w 1941 roku. Ja wtedy byłem przy nim, bo miałem wypadek przy pracy. Rozwalił się nam wagonik, którym ładowaliśmy i drzewo potłukło mi nogę tak, że spuchła i nie mogłem pracować. Moja matka razem z siostrą pracowała wtedy w przychodni, to znaczy w izbie dla chorych. Pochowaliśmy ojca w lesie na Boże Narodzenie. Tam na osiedlu nie było ani opieki lekarskiej, ani odpowiedniego odżywiania. Ojciec chorował na raka gardła i nie mógł przetykać pożywienia. W Polsce matka przygotowywała zupy i płynne napoje, a w lesie nie było takiej możliwości.

Drugi rok naszego pobytu był coraz trudniejszy. Ograniczono ilość chleba do 1 kg dla pracujących i 1/2 kg, dla tych, którzy nie pracowali. W restauracji też nie było prawie nic do jedzenia. Czasem zupa grzybowa, w której pływał

jeden grzybek, kilka kruszek jakiejś kaszy i parę kropli oleju zamiast tłuszczu. Jeden kilogram chleba wydaje się dużo, ale kiedy to wszystko, co było do jedzenia to niewystarczająco i już człowiek zjadał ten chleb oczami, zanim dostał do ręki. Nieraz myślałem, że byłoby dobrze, gdyby mieć to, czym my karmiliśmy świnie i drób na gospodarce, gotowane kartofle i mąkę. Dopiero by człowiek miał ucztę i mógł najeść się do syta. Nieraz chleb tak pachniał, choć nie było go nigdzie w pobliżu, to zdawało się, że jest gdzieś świeży, pachnący, prosto z pieca, taki jak moja babcia Pankiewiczowa albo matka piekły w Załuczu. Jeszcze do dnia dzisiejszego bardzo lubię chleb i dużo go spożywam. Jediną nadzieją wydostania się z tej zsyłki było to, że Niemcy wygrają wojnę i nas wyswobodzą, bo nie wiedzieliśmy wtedy, że oni tak okropnie prześladowali Polaków. Nam nasi opiekunowie z NKWD stale mówili, żeby zapomnieć o Polsce, że nigdy stąd nie odejdziemy. Jediną drogę [jaką] będziemy znać, to z baraków do lasu i z powrotem.

Pewnego dnia zebrali nas w jednej sali i powiedzieli, że jesteśmy wolni, że jakiś generał Sikorski z Londynu organizuje Polskie Oddziały Wojskowe w Rosji do walki z Niemcami i my możemy wstąpić do Polskiej Armii lub do Czerwonej Armii, bo to nie robi różnicy. Będziemy walczyć wspólnie z Niemcami. Radzili nam, że najlepiej abyśmy zostali w lesie i pracowali tam, bo będzie trzeba dużo drzewa dla przemysłu wojennego. Ja chciałem zaraz jechać szukać tego polskiego wojska, ale moja matka nie chciała ruszać w podróż, bo wiedziała, że to będzie trudna podróż i obawiała się ruszać w drogę. W końcu kiedy ja postanowiłem jechać, matka sama nie chciała zostać i 1 stycznia 1942 r. wyruszyliśmy piechotą do stacji kolejowej, odległej o 30 km. Ciągnęliśmy nasze posiadłości na sankach, które ja zrobiłem z desek. Wyszła nas spora grupa ludzi. Niektórzy doszli do stacji tego samego dnia. My nocowaliśmy w drodze we wsi, około 10 km od stacji. Matka z trudem znalazła rodzinę we wsi, która nam pozwoliła spać na podłodze w ich domu. Na drugi dzień doszliśmy do stacji o dołączyliśmy do naszej grupy, która już tam była. Tam przez kilka dni nie mogliśmy się dostać na pociąg. Każdy wagon pasażerski miał przewodniczkę i mówiły, że nie ma miejsca w wagonach. Mówiły, że jest miejsce przy końcu pociągu. Tam nas też nie chcieli wpuścić, mówili, że jest miejsce na początku pociągu. Potem pociąg ruszał, a my dalej zostawaliśmy na tej stacji. W końcu poszliśmy do naczelnika stacji i on obiecał nam, że załaduje nas na następny pociąg. Przewodniczki znów nie chciały nas wpuścić, ale naczelnik powiedział im, że pociąg nie ruszy ze stacji, zanim my wszyscy nie załadujemy się i on mówił nam, żeby siłą się pchać do wagonów. I tak zrobiliśmy, wrzuciliśmy nasze rzeczy i tobołki do wagonu. Kiedy już wszedłem do wagonu pytałem się matki, gdzie jest Hala. Ona mówi, że nie wie, wtedy wróciłem do drzwi, Hala stała przy wagonie, a rosyjska przewodniczka stała rozkraczona z rozkrzyżowanymi rękami w drzwiach i nie chciała jej wpuścić do wagonu. Ja złapałem tę kobietę za kołnierz i szarpnąłem w głąb wagonu, pomogłem mojej siostrze wejść do wagonu. Rosjanka narobiła okropnego wrzasku, że Polaki to bandy-

ty i złodzieje, ale ja nie zwracałem na to uwagi i już pociąg ruszył w drogę. Było tam już trochę Polaków, którzy jechali z dalszych stron północnego kraju. Niektórzy mieli kozuchy, które były tak zawzione, że gdyby położyć je na podłodze, to by pewno same się poruszały. Naturalnie w tak ciasnym wagonie, wszyscy wkrótce zaczęli się drapać, bo wszy wszędzie się rozlaży.

Podróż tym pociągiem była krótka. Po dwustu kilometrach jazdy przyjechaliśmy do dużego miasta Wołody. Tam wysiedliśmy z tego pociągu i po paru dniach oczekiwania na stacji, wsiedliśmy do towarowych wagonów (bydłęcych). Nasza grupa Polaków z osiedla i dużo Rosjan. Było nas pewno chyba około 80 osób. Niektórzy byli w okropnym stanie fizycznym i cuchnący brudem. Szczególnie Żydzi, którzy się podawali za Polaków. Nie mieli siły ani woli do przetrwania i dużo ich umierało w drodze. Z jedzeniem też było trudno i po ten codzienny przydział chleba, trzeba było stać w kolejkach, i ciągle szukać gdzie sprzedawali chleb. Po sprawdzeniu tymczasowych dokumentów, które wydało nam NKWD, można było tylko kupić chleb na tyle osób ile było na dokumencie. Czasem można było na niektórych stacjach kupić jakąś zupę i dlatego ludzie szli z wiadrami do stacji z nadzieją, że może będzie zupa. Każdy też miał worek na chleb. Ja zawsze kupowałem chleb dla naszej rodziny i jeszcze jednej kobiety z małą córką w wieku około 10 lat. Ja i jedna młoda dziewczyna zawsze sobie pomagaliśmy. Jeżeli ona była bliżej w kolejce, to dawałem jej wszystkie dokumenty i ona kupowała na całą naszą grupkę. Jeśli ja byłem bliżej okienka, to ja kupowałem. Zawsze trzeba było uważać, żeby pociąg nie odszedł, bo nigdy nie było wiadomo jak długo pociąg będzie stał na stacji.

Dużo ludzi w wagonach chorowało i umierało. Nieraz kiedy pociąg ruszał po krótkim postoju, to na śniegu zostawało dużo trupów, których wyrzucano z wagonów. Byli nie tylko starzy, ale także młodzi ludzie w sile wieku. Głód i choroby powodowały śmierć. Tych zmarłych, którzy mieli rodziny, to nie chcieli ich wyrzucać na śnieg. Układali ciała na schodkach ostatniego wagonu. Nieraz było po kilka trupów tam ulokowanych. Na niektórych stacjach zabierali tych zmarłych i składali zamrażniętych w magazynach. Nie wiem co z nimi robili wiosną. W naszym wagonie jechała rosyjska kobieta z trojgiem dzieci. Dwie córki i syn. Jechali szukać ojca i męża, który był wysłany z fabryką za Ural z Leningradu, bo Niemcy byli już blisko i potem okrążyli Leningrad. Ta kobieta zmarła w wagonie, leżała koło mnie na podłodze. Ja też byłem chory, ale jakoś prędko wyzdrowiałem. Jej starsza córka miała może 16-17 lat i tak polubiła naszą mamę, że chciała z nami jechać, tam gdzie my jechaliśmy.

Warunki higieniczne w wagonach i koło torów kolejowych było bardzo złe. Tysiące ludzi podróżowało w Rosji podczas wojny, a także ciągle szły transporty z wojskiem. Ludzie spali w budynkach stacyjnych. Swoje potrzeby naturalne załatwiali na dworze koło torów. W zimie to zamrażało, ale na wiosnę, to chyba trudno było tam przejść. Na jednej ze stacji widziałem jak przewozili jeńców niemieckich z obozu i ładowali do nie ogrzewanych towaro-

wych wagonów. Oni nie mieli zimowych ubrań. Byli wyczerpani i osłabieni. Nim załadowali transport, to napełnili jeden wagon zmarłymi jeńcami. Jeden z jeńców był tak słaby, że upadł na śnieg. Wartownik zaczął go kopać i kazał wstać. On nie mógł i chcąc ratować się, powiedział po niemiecku, że on jest komunistą. Wartownik znowu go kopnął i powiedział, że on chciał zapoznać „ruskiej zimy” i teraz ma na to okazję. W końcu przyszła sanitariuszka i pomogła mu wstać i wsadzili go do wagonu, ale na pewno długo już nie pożył.

Nasz pociąg jechał przeważnie nocami, bo w dzień miały pierwszeństwo transporty wojskowe załadowane sprzętem wojskowym i ogromną ilością rannych z frontu. Nieraz po parę dni staliśmy na bocznej linii i trudno było dostać coś do jedzenia. Kto miał coś z ubrania do wymiany z miejscowymi ludźmi, to miał trochę lepiej, bo pieniądze nie miały żadnej wartości i nic za nie do jedzenia nie można było kupić. Za bochenek chleba, który po oficjalnej cenie kosztował parę rubli, ludzie płacili po 100 i więcej rubli. W naszym wagonie był mały piecyk na środku do ogrzewania. Często musieliśmy gdzieś na stacjach kraść węgiel, bo inaczej to by ludzie marzli. W naszej grupie było kilku młodych i razem jakoś to organizowaliśmy. W innych wagonach nieraz nie było młodych i zdrowych ludzi i było im zimno. Pewnego wieczoru nasz pociąg zatrzymał się na jednej stacji, ale dosyć daleko od budynków. Ludzie zaraz wyskakowali z wagonów i szli do stacji z wiadrami i workami, aby coś dostać do jedzenia. Ja miałem jakieś złe przeczucie i nie chciałem iść. Nigdy nie było wiadomo jak długo pociąg będzie stał. W końcu zdecydowałem się też iść. Kiedy wszedłem na stację, nasz pociąg zaczął ruszać, a na linię przy stacji wchodził drugi pociąg. Ja zdążyłem krzyknąć do ludzi, że pociąg odchodzi i biegłem w stronę pociągu. Z trudem przedostałem się między wagonami pociągu, który zagroził mi drogę. Kiedy dobiegłem do naszego pociągu, to już poruszał się prędko. Gdybym czekał na ostatni wagon ze schodkami, to bym już nie mógł złapać, bo jechały za prędko. Z trudem udało mi się dostać na otwarty wagon i mało nie zamarłem na nim, nim pociąg się zatrzymał. Był w tym wagonie jakiś Rosjanin. Też marzył i przeklinał cały świat, życie, wojnę i władze. Jeszcze tylko jeden chłopak zdążył złapać pociąg. Jak tylko pociąg zatrzymał się, to ja zeskoczyłem i szedłem naprzód do naszego wagonu. Kiedy doszedłem to miałem ręce skostniałe z zimna i nie mogłem otworzyć drzwi. Zastukałem i ludzie z wagonu otworzyli i wciągnęli mnie do środka. Prawie z każdej rodziny, ktoś został na poprzedniej stacji i wszyscy płakali, bo zostali przeważnie młodzi, którzy zawsze starali się o żywność. Moja matka rzadko wychodziła z wagonu, bo był wysoki i bez pomocy nie mogła by wejść z powrotem. Ci ludzie, którzy zostali na poprzedniej stacji, doszli do nas następnego dnia, bo pociąg po przebyciu kilkunastu kilometrów stał tam całą noc i dzień. Dużo głodu i niedoli przeżyliśmy podczas tej podróży. Wszy nas gryzły. Było ich tyle, że łączyły po ubraniu i trudno było się ich pozbyć. Była to długa i uciążliwa podróż, dokuczał chłód, głód i robactwo, które mnożyło się w ciasnocie wagonu i braku warunków higienicznych. Cały kraj był zawszony. Kiedyś stojąc w kolejce po chleb, stał przede mną młody

rosyjski chłopak. Był widocznie zmęczony i zasypiał na stojąco. Kiwała mu się głowa i jego czapka zbliżała się do mojej twarzy. Po czapce łążyły ogromne wszy. Na jednej stacji kolejowej, młody człowiek siedział na wysokim piecu, łapał wszy na swoim ubraniu i rzucał na ludzi.

Po miesiącu podróży zatrzymali nasz pociąg na jednej stacji i wszyscy poszliśmy do łaźni, a ubranie do dezynfekcji i parą starali się zabić wszy. Trochę to pomogło, ale nie całkowicie. Ta łaźnia była w wagonach kolejowych obsługiwana przez kobiety, które też przyjmowały ubrania do dezynfekcji. Nie było tam żadnego wstydu i nikt na to nie zwracał uwagi na inną płęć. Było to całkiem normalne w Rosji. Na jednej stacji pociąg nasz zatrzymał się i z sąsiedniego wagonu wyszła młoda dziewczyna. Kiedy chciała wrócić do wagonu, to ludzie nie chcieli jej wpuścić i odpychali od drzwi. Ona była chora i słaba i nie mogła sobie dać rady. Kilku ludzi z naszego wagonu po sprzecze z tamtymi ludźmi, pomogli jej wejść do wagonu. Następnego dnia, kiedy pociąg znowu zatrzymał się, to widziałem jak jeden człowiek ściągnął ją z półki w wagonie długim drutem. Już nie żyła i zostawili ją na śniegu. Na jednym z przystanków szedłem koło wagonów. Młoda kobieta – Rosjanka z opaską z Czerwonego Krzyża na rękawie, prosiła mnie żeby jej pomóc zdjąć sanki z wagonu, bo sama nie mogła dać rady. Na sankach leżał zmarły człowiek. Pomogłem jej to zrobić i natychmiast zdjąłem swoje rękawice i zostawiłem na śniegu, choć one były bardzo potrzebne. Ten zmarły wyglądał strasznie i bałem się, żeby nie przynieść jakiejś zakaźnej choroby do naszego wagonu. W niektórych wagonach prawie wszyscy ludzie byli chorzy i tak osłabieni, że nikt nawet nie mógł pójść po wodę. W warunkach które tam były, ludzie zatracili ludzką naturę i chęć pomocy bliźnim, bo tylko myśleli o sobie i walczyli o przetrwanie. Instynkt samozachowawczy był silniejszy niż miłość i chęć pomocy innym. Zdarzały się rabunki, kradzież, a nawet zabójstwa. Na jednej stacji dowiedzieliśmy się, że w magazynie można dostać żywność dla tych ludzi, którzy jadą do wojska. Kiedy tam poszliśmy, to rzeczywiście dali nam dosyć dużo żywności. Bardzo dobry chleb i konserwową zupę. Kręciło się tam dużo ludzi i chcieli żeby im dać lub sprzedać żywność. Gdyby nas nie była duża grupa, to by na pewno nas ograbili i zabrali wszystko. Ja zgubiłem się w drodze do wagonu i aresztował mnie policjant, bo nie chciał uwierzyć, że tą żywność dostaliśmy legalnie. On mówił, że ja to ukradłem. Dobrze, że mnie szukali ludzie z wagonu i wytłumaczyli policjantowi sytuację. Brak było tytoniu do palenia. Na jednej stacji, ja i mój kolega kupiliśmy malutką szklaneczkę tytoniu. Były to tak zwane karaszki, krajane żyłki i łodygi tytoniu. Po powrocie do wagonu chowaliśmy się, aby zapalić papierosa, ale jak ludzie poczuli dym tytoniowy, to nie mogliśmy sami wypalić tych papierosów. Każdy z palaczy chciał choć parę razy pociągnąć.

Pewnego razu staliśmy na stacji 3 dni, bo była burza śnieżna, tak zwany „buran”. Zasypało linie kolejowe i nic się nie poruszało nim nie oczyścili śniegu. Nic tam nie można było dostać do jedzenia. Ja i jeden znajomy, wyruszyliśmy do wsi, około 5 km od stacji, aby wymienić ubranie na jedze-

nie. Było to w Kazachstanie, gdzie kraj był urodzajny w pszenicę. Było tak zimno i tak silny wiatr, że co parę kroków trzeba było odwracać się plecami do wiatru, bo nie można było tchu złapać. Ja wstąpiłem do pierwszej chaty we wsi. Tam mieszkała rodzina ukraińska, którą 10 lat przedtem wysiedlili z Ukrainy. Pytali się, co my za ludzie. Gospodyni dała nam po dużej kromce dobrego chleba i kwaszonej kapusty. Mój znajomy poszedł do innego domu. Miał do wymiany swój kozuch. Ja zostałem i wymienilem swoją kurtkę na kaszę i pszenną mąkę i jeszcze dali mi do worka ogromny bochen chleba. Nakarmili mnie ciepłą kaszą z mlekiem. Wracalem zadowolony do stacji. Wiatr mnie popychał w plecy i po powrocie matka piekła placki na piecyku i było co jeść. Na jednej stacji w Kazachstanie, była ogromna sterta pszenicy rozsypana na ziemię. Gdyby złapali kogoś biorącego pszenicę, to za to groziło więzienie, co najmniej 5 lat przymusowej pracy. Kiedy przejeżdżaliśmy przez pustynny kraj w okolicy jeziora Aralskiego, to ludzie na stacjach nie dawali nam nabrać wody ze studni, bo tam było mało wody. Dowozili cysternami kolejowymi i zlewali do studni. Przejeżdżaliśmy przez miasto Taszkient, ale nie pozwolili nam wyjść tam z wagonów, bo panowała epidemia tyfusu.

Teraz o tej rodzinie rosyjskiej, która jechała z nami w wagonie, szukając ojca i męża. Po śmierci matki, to dzieci przyłgnęły do mojej matki. Najstarsza dziewczynka nazywała ją pani Modzelewskaja i chciała z nami jechać tam gdzie my jechaliśmy. Na jednej stacji znalazły te dzieci swego ojca i my pomogliśmy im przenieść ich rzeczy i tam zostały z ojcem. Miały te dzieci szczęście w nieszczęściu, bo choć straciły matkę, ale udało się im odnaleźć ojca, a było tyle rodzin, które się porozdzielały i nie odnalazły. My cieszyliśmy się, że udało się tym dzieciom połączyć z ojcem. My z Wołogdy jechaliśmy przez miasta: Gorkij, Kujbyszew, Orenburg (Czkałow), Swierdłowski, Czelabiński, Magnitogorsk, Oktubiński, Aralsk, Kizyl Orda, Taszkient, Samarkandę aż do Buchary, gdzie wysiedliśmy z wagonów. Z Buchary znów pociągiem przewieźli nas do miasteczka Kitab. Tam już została matka z siostrą. Zamieszkała u Uzbeków w małym pokoiku w domku z gliny. Ja wstąpiłem do polskiej armii i wysłano nas do miasta Szachriaab (nie wiem czy to jest właściwa nazwa). Stamtąd po paru tygodniach pociągiem wyjechaliśmy do Krasnowodzka (portowe miasto na morzu Kaspijskim) i okrętem przez Morze Kaspijskie do Pahlewi w Iranie, a stamtąd ciężarówkami przez góry, przewieźli nas do Teheranu. Z Teheranu pociągiem, a potem okrętem przybyliśmy do Egiptu, a potem do Palestyny (dzisiejszy Izrael). W Teheranie spotkałem matkę i siostrę w obozie dla cywilnej ludności, byłem z nimi parę razy tylko i potem wyjechałem. Matka została w Teheranie z siostrą. Siostra zmarła w Teheranie i tam jest pochowana na polskim cmentarzu. Mój brat Zygmunt²,

² Zygmunt Modzelewski po ukończeniu podchorążówki otrzymał przydział do 85 pułku piechoty w Nowej Wilejce. Zmobilizowany w sierpniu 1939 r. walczył w Zgrupowaniu gen. Kleeberga, a po kapitulacji znalazł się w Oflagu II c w Woldenbergu. Po wojnie ukończył studia ekonomiczne i został zaangażowany przez Międzynarodowe Biuro Pracy w Genewie, gdzie pracował trzydzieści lat. Zmarł w 1995 r.

kiedyś był służbowo w Teheranie i zrobił zdjęcia grobu. Matka spędziła lata wojenne w Ugandzie i po wojnie wróciła do Polski. Ja po długiej wędrówce i udziale w wojnie, wyjechałem do Kanady, a potem do USA. Po 45 latach odwiedziłem Polskę, gdzie spotkałem się z siostrą i bratem i poznałem młodych członków rodziny.

Chciałem na tym zakończyć to opowiadanie, ale tyle jeszcze wspomnień przychodzi na myśl, które choć sam widziałem i przeżyłem, trudne do uwierzenia są i dzisiaj, wydaje się, że to był zły sen. Gdyby ktoś to opowiadał, to bym miał wątpliwości, że to rzeczywiście się zdarzyło. Ludzie nieraz pytali mnie o moje przeżycia i nie chcieli wierzyć. To mnie wtedy złościło. Dzisiaj rozumiem ich wątpliwości. Teraz chyba dodam tylko, że chciałbym żeby ludzie nie musieli przechodzić takich przeżyć i warunków, które były w czasie wojny. Polacy od lat cierpieli zesłania i prześladowania, za to, że byli Polakami, choć miliony Rosjan i ludzi innych narodowości też bardzo źle przeżyli te czasy.